Rok 1894. We Lwowie, Poniedziałek dnia 28. Maja Nr. 21

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

Życie ludzkie.

Nucą ptaszki wokoło,
Bo wiosna — ich pociecha,
Śpiewa dziecię wesoło,
Bo świat mu się uśmiecha.

O — raduj się, dziecię,
Nim los cię zasmuci,
Bo krótko trwa życie,
A radość tem króciej.

Gorzkie życia jest żniwo,
Za śmiechem łza już goni,
Gdyś chwilkę miał szczęśliwą
To dziesięć smutnych po niej.

I wartko czas płynie,
Jak nurty strumyka;
Dziś kwiat się rozwinie.
A jutro już znika...

Lecz czyliż przeto życie
Niewarte nic już zgoła,
Że daje łez obficie,
A szczęścia dać nie zdoła?

Że stawia nam czary
Z ponętą zwodniczą,
A wszystkie swe dary
Zaprawia goryczą?

O! — warte ono wiele,
A świadom tej wartości,
Kto wie. że wyższe cele
Zakreślił Bóg ludzkości. —

Że boleść — choć krwawą
Ofiarą się koi,
A miłość podstawą,
Na której świat stoi.

Kochać przeto potrzeba,
Choćby cierpiąc nad miarę,
A pan i władca nieba
Zapłaci za ofiarę.

I kiedy już w grobie
Odpoczniesz po pracy,
To pamięć po tobie
Czcić będą rodacy...

Lecz zanim życia łódka
Dobije do przystani,
Niejeden cios cię spotka
I cierń niejeden zrani,

Toż raduj się dziecię,
Nim los cię zasmuci;
Bo krótko trwa życie,
A radość tem króciej!

W marcu 1894.

Fr. Waligórski.

Nowelista w koronie.

I.

Z niezliczonych już stron ukazywano ludowi Napoleona I-go. Znamy Małego Kaprala z pism poważnych, ale nikt chyba nie wyobrażał sobie Napoleona Bonapartego, oficera altylerji, nowelistą.

Napoleon jednak pisywał nowele. Przekonywa nas o tem, Fryderyk Marson, najlepszy pono znawca wszystkiego, co dotyczy wielkiego cesarza francuzów.

Ale jakim sposobem rękopism noweli wpadł w ręce Massona?

Zdaje się, że w chwili swego wyjazdu do Rochefort cesarz w drodze na wygnanie powierzył swemu wujowi, kardynałowi Feschowi wówczas arcybiskupowi Lugdunu, skrzynkę opieczętowaną swoim sygnetem, zawierającą, oprócz listów osobistych, niektóre próby piśmienne młodości, mianowicie szkice i utwory belestryczne, kreślone pomiędzy r. 1786 — 1793. Po śmierci kardynała Fescha († d. 13. maja r. 1836.) skrzynka dostała się do rąk jego wikarego, ks. Lyonneta, który ją otworzył w obecności Karola Bonapartego, syna Łucjana. Papiery były później kupione przez Libriego, tego samego. który mianowany przez Guizot'a inspektorem bibliotek francuskich, grabił je systematycznie. Libri ogłosił w. r. 1842 w „Revue des Deux Mondes“ artykuł, zawiadamiający świat o swem odkryciu. Zmuszony do ucieczki z Francji, zbył następnie rękopisy lordowi Ashburnam za 8000 funtów szterlingów. Od roku 1847 do 1882-go manuskrypty pozostawały w bibljotece zamku Ashburnam. Tu odnalazł je Fryderyk Masson i zaproponował ich kupno administratorowi Biblioteki narodowej w Paryżu, Leopoldowi Delisle który nie chciał dać za nie sumy żądanej. Wówczas skwapliwie nabyła papiery biblioteka narodowa we Florencji, bibliotekarz zaś tej książnicy, Guido Biagi, pośpieszył ogłosić rękopisy drukiem.

Oto fragment belletrystycznego utworu Napoleona I.

* * *

Wsiadłem na statek, dążący z Leghorn do Hiszpanji, ale wiatry przeciwne zmusiły nas do zatrzymania się w Gorgonie. Gorgona, to cypel skalisty, powierzchni mniej więcej jednej mili kwadratowej Nie było to dobre schronienie ale wybierać nie moglibyśmy, bo statek nasz doznał poważnych uskodzeń.

Rzadko która miejscowość ma położenie tak malownicze, jak ta wyspa, oddzielona od lądu stałego szeroką przestrzenią morza, otoczona skałami, na których rozbijają się liczne statki.

Znużony śmiertelnie przebytą drogą, wysiadłem na ląd z kilkoma majtkami, ludzie ci nie byli nigdy na wyspie nie wiedzieli, czy jest zamieszkalna. Dotknąwszy lądu stałego stopą, zużyłem resztę sił na zbadanie miejscowości i doszedłem wkrótce do przekonania, iż żadna istota ludzka nie mieszkała na glebie tak jałowej. Myliłem się, a z błędu wyprowadziło mnie coś w rodzaju muru, nawpół rozwalonego przez czas i burze. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że to ruiny odwieczne. Chwasty, powoje i inne rośliny okryły je tak silnie, że trudno było rozpoznać oddzielne kamienie.

Rozbiłem namiot w miejscu, gdzie ongi stały domy. Majtkowie spali w łodzi, znalazłem się sam na wyspie. Bawiła mnie ta samotność przez parę godzin, przez część nocy. Jestem — mówiłem sobie — w małym światku, gdzie znalazłbym dosyć środków do mojej egzystencji, daleki od pokus światowych, ambicji i znikomych namiętności ludzkich. Dlaczegóżbym nie miał tu zamieszkać, jeżeli nie już szczęśliwy, to przynajmniej spokojny i sobie samemu oddany.

Z temi myślami zasnąłem, porównywając się sam do Robinsona Cruzoe. Jak on, byłem królem owej wyspy.

Przyszedł na mnie sen pierwszy, głęboki i ożywczy. Nagle obudziły mnie blaski pochodni i okrzyki zdumienia. Zdziwienie moje przeszło w obawę, gdym usłyszał kogoś, wołającego po włosku:

— Nędzniku! umrzesz!...

Laska mi była bronią jedyną. Porwałem ją i skoczyłem na równe nogi z posłania. Szukałem drzwi, ale znalazłem je zamknięte. Gdym się namyślił, co mi robić wypada, podłożono ogień pod mój namiot, a ten sam głos zawołał:

— Tak giną wszystkie istoty ludzkie!...

Dźwięk głosu, który wypowiedział tę groźbę, przejął mnie przerażeniem. Jednakże skupiłem moją odwagę i, nawpół uduszony kłębami dymu, zdołałem się wyrwać z ucisków ogniowych. Rozpocząłem wówczas poszukiwania podłego wroga, który chciał mnie zgładzić ze świata tak okrutnie i tak zdradziecko. Niedostrzegłem jednak nikogo i nie słyszałem żadnych odgłosów. Wyobraźcie sobie moje położenie!

Wzruszony jeszcze wspomnieniem niebezpieczeństwa, które mi zagrażało, strwożony myślą, że może mnie czeka coś gorszego jeszcze, prawie nagi gwałtownym wichrem smagany, odczuwałem coraz silniej grozę położenia w ciemności nocy, wśród szumu bałwanów, dochodzącego od morza. W blaskach ognia, trawiącego namiot, dostrzegłem ruiny, wśród których stał. Każdy kamień zdawał się mówić: „Wszystko ginie w przyrodzie i ty zginiesz również."

Minął kwandrans. Usłyszałem szmer a w chwilę później dostrzegłem dwoje ludzi, zbliżających się szybkim krokiem. Byłem bezbronny, ukryłem się przeto bom się chciał przekonać, dlaczego byli tak okrutni, gdyż nie mogłem przypuszczać, aby byli tak wrogo względem całej ludzkości usposobieni. Ku wielkiemu memu zdumieniu, oto co usłyszałem:

— Moja córko! Naraziłaś ojca, stojącego nad grobem, na srogi wyrzut. Boże! Wysłuchaj prośby tej smutnej ofiary! Wzywa potęgi wiecznej, która tak długo zachowała nam życie. Córko! coś zrobiła? Być może, ofiarowałaś cieniom naszych rodaków kogoś z naszej rasy? Być może, jest jednym z tych szlachetnych anglików, którzy otaczają w tej chwili opieką naszych zbiegłych rodaków? Nie! Nie zniosę tego dłużej! Znosiłem klęski mego kraju, mojej rodziny, moje własne, dopóki miałem serce czyste. Ale teraz siwe moje włosy splugawiła moja zbrodnia. Żegnaj mi, córko, muszę odpukutować za twój błąd! Tak oczyśćcie mnie, płomienie gorejące! Przebaczam ci, córko moja! Żyj, aby mnie pomścić!

Słowa te ożywiły moją odwagę. Trudno mi opisać wrażenia, jakie w tej chwili szarpały moją duszę. Upadłem do nóg tego szlachetnego starca.

— Ojcze! — wołałem — jestem rzeczywiście anglikiem i waszym przyjacielem. To, co usłyszałem, wynagradza mi obawę nieszczęsnego zdarzenia, którego omal nie padłem ofiarą.

Starzec, wyraziwszy swą radość, zaprowadził mnie do pieczary, w której mieszkał:

— Bądź pozdrowiony, angliku, mówił — jesteś panem mojej chaty...

II.

Zbyt wiele miejsca zajęłoby powtarzanie rozmowy w całości. Poprzestanę tedy na jej streszczeniu. Prosiłem starca, aby mi opowiedział historję wypadków, które doprowadziły go do unikania towarzystwa ludzi.

Starzec zaczął opowieść temi słowy:

Na Korsyce ujrzałem światło dzienne Mieliśmy wówczas na Korsyce genueńczyków. Zaledwie doszedłem do dwudziestego roku życia, ramię moje, nie znające obawy, odniosło zwycięstwo, które rodacy moi wspominali jeszcze temu lat dziesięć. W kilka lat później genueńczycy przyzwali na pomoc niemców.

Francuzi także nadciągneli z posiłkami. Płaszczyzny i miasta poddały się. Ja zaś znalazłem

się w liczbie tych, co przysięgli, że nie przeżyją porażki. Po różnych przejściach Paoli di Rostino otrzymał nominację na ogólnego i najwyższego zarządcę kraju. Gdy znów francuzi przyszli z ogniem i mieczem i zmusili Paola do ucieczki.

(Dokończenie nastąpi.)

Pensya fin de siècle.

Ośmdziesiąt młodych panien pod jednym dachem — wszystkie córki miljonerów. Gdyby te młode osoby oceniać tylko według wartości posagu, zebrałaby się wcale pokaźną suma: 82 miljonów franków, powierzonych pieczy dwóch poważnych starych panien: Mary i Jane Ely, których zakład w Riverside Drive — tak się zwie jedno z młodych przedmieść New-Yorku— jest najmodniejszą instytucją nietylko w Ameryce, lecz w całym świecie.

Mamy-milionerki ze wszystkich krańców Stanów Zjednoczonych posyłają swe córki do mistres Ely i Mary, aby u nich nabrały ogłady, wykształcenia, słowem stały się osobami z towarzystwa. Po wyjściu z zakładu tych pań, uczenice są zupełnie „comme il faut", naturalnie według reguł etykiety amerykańskiej.

Nauki ścisłe wchodzą do programu zajęć w tej godnej uwagi instytucji, lecz zajmują miejsce drugorzędne. Czas spędzony pod opiekuńczemi oczyma mis Ely i Mary, służy do przygotowania się do wielkiej komedji życia, w której każda z tych bogatych dziewczyn ma przeznaczoną wybitną rolę. Codzień uczą je wdzięcznych ruchów, eleganckiego zachowania się w salonie, noszenia z wdziękiem tacy zastawionej lemoniadą, lub miłej konwersacji z panem, prowadzącym damę do stołu.

Uczenicy z Riverside Drive nigdy ani na minutę nie spuszcza z oka surowa dozorćzyni, w obawie, by zetknięcie z prostakami nie zepsuło doskonałego dzieła mis Ely.

Pensja mieści się w olbrzymim gmach, budowanym w stylu starokolonialnym, z fasadą wyłożoną żółtą cegłą. Szeroka brama prowadzi na dziedziniec, w środku którego znajduje się olbrzymi plac do lawn-tennis. Front budynku wychodzi na rzekę Hudson. Nie można wyobrazić sobie położonia weselszego, zdrowszego i bardziej malowniczego. Na parterze „parloir" dla panien, które tam przyjmują raz na tydzień gości. bawią się na wieczorkach, tańczą i t. d. Parloir posiada ładne umeblowanie. Głębokie miękkie kanapy i fotele zapraszają do spoczynku dzieła sztuki zdobią ściany, kosztowne freski upiększają tę tę salę, podobną do pierwszorzędnego salonu paryzkiego i obszerną jak teatr. O każdej porze dnia można tam spotkać lekcje dobrego ułożenia. Jeżeli na którejkolwiek z tych prób uczenica nadepce na ogon sukni swej towarzyszki, lub wylej kroplę heraaty z filiżanki którą niesie, dozorczyni wywołuje ją delikatnie i rozpoczyna bardzo skomplikowane ćwiczenia, polegające na spacerowaniu pomiędzy ogromami sukien lub noszeniu tacy. Lekcje te trwają przez czas dość długi, zanim uczenica ponownie dopuszczona jest do przyjęć w „parloirze".

Lekcje zachowania się przy obiedzie mają takie samo znaczenie, co i ćwiczenia przy five o'clok. Sala jadalna, w ktorej z łatwością może pomieścić się sto osób, przytyka do salonu. Stół zawsze obficie zastawiony i jak w domu utrzymywany na przyzwoitej stopie; wszystkie potrawy do wyboru. Menu drukowane po francusku i i słżbie nie wolno używać języka azgielskiego. Obiady wykwintne, stosownie do zwyczajów milionerów. Uczenice zasiadają do stołu w tualetach wieczornych.

Inne sale na parterze przeznaczone są do nauki. Uczenice mieszkają po kilka w jednym pokoju, po większej części jednak każda ma swój własny pokój, cudownie urządzony. Wejdźmy np. na chwilę do pokoju mis G. K., młodej miljonerki, na której debiut w świecie niecierpliwie oczekuje wyższe towarzystwo New-Yorku. Posadzkę ze starego dębu, błyszczącą jak zwierciadło, okrywa jaskrawy kobierzec. W oknach, wychodzących na Hudson, lekkie firanki z h towanego muślinu, podpięte wstęgami z niebieskie atłasu. Ściany obite materją bladoniebieską. Łóżko bronzowe, biurko z drzewa różanego, na niem zwierciadło w stylu Ludwika XV, otoczonego fotografiami, kanapa, fortepian, stół zastawiony serwisem z saskiej porcelany, dają pojęcie o komforcie, jakim mis Ely otacza swe uczenice.

Na drugiem piętrze mieszczą się pokoje przeznaczone do ćwiczeń gimnastycznych, gdyż przełożone między innemi stararają się, by ich uczennice dobrze rozwijały się fizycznie.

W tym pensjonacie „fin de siécle" cena roczna wynosi 5,250 fr., nie licząc wydatków „extra", np. na muzykę, lub lekcje śpiewu. Półgodzinna lekcja śpiewu kosztuje dwadzieścia sześć franków.

Gdy uczenica życzy sobie brać lekcje śpiewu u profesora mieszkającego w mieście, który nie chce się do niej fatygować, ponosi wydatek trzy franki na godzinę dla damy towarzyszącej w tej wycieczce. Ten sam wydatek czeka uczenicę za każdym razem, gdy wychodzi na miasto do dentysty, doktora, szwaczki, lub z wizytą. Przepis w tym względzie jest bardzo surowy. Nie można wychylić nosa bez damy do towarzystwa, a za towarzystwo to trzeba płacić. Zwyczaj ten, o ile z jednej strony budzi zaufanie rodziców, o tyle zyskownym jest dla zakładu. To też młoda osoba, pobierająca edukację na pensji pań Ely i Mary kosztnje rodziców rocznie najmniej 10,500 fr.

Pomimo cen tak wygórowanych, zakład przy Riverside-Driwe całkowicie jest zapełniony. Przebywa w nim ośmdziesiąt uczennic i miejsca wakować będą dopiero za dwa lata.

Uczenice liczą od 15 do 20 lat i robią wrażenie kobiet całkowicie rozwiniętych, oraz dobrze przygotowanych do życia światowego. Przełożonym pensji nie chodzi wcale o danie

wykształcenia gruntowregn, lecz o to, by uczennice wyszły na kgbiety światowe, mające miny takie, jakby coś umiały. Wszystkie mówią doskonale po francusku, obeznane są potrochu z literaturą i muzyką, arytmetyki umieją mało, mogą wszakże z jej pomocą kontrolować budżet wydatków domowych i wreszcie na uwieńczenie całego kursu nauk otrzymują dyplom.

Po ukończeniu zakładu powracają z wyniosłemi minami do matek, które często pobierały wykształcenie w szkółkach wiejskich i patrząc na córki, winszują sobie szczęśliwego wyboru pensji, na której tworzą takie arcydzieła.

Antka.

SZKIC.

(Ciąg dalszy.)

Po długiej i ciężkiej zimie nadeszła wiosna. Niebo wyjaśniło się i ciepły, łagodny wiatr wionął po polach, na których zieleniły się raźno oziminy. Na drzewach ukazywały się ptaki i zarośla okrywały się szybko drobnym liściem. W obejściach powstawał ruch i praca poczynała się raźniejsza. Antka tylko ciągle niedomagała a kaszel suchy, urywany mocny przeszkadzał jej nie mało w robotach, które teraz na dworskich gruntach podjęto. Niekiedy musiała całkiem na czas jakiś zaprzestać pracować i żyła z ojcem z uzbieranych poprzednio oszczędności. Stach pomagał jej, jak mógł. Gdy zaś spojrzał na Antkę, której twarz ściemniała teraz dziwnie a oczy, opływały ciągle łzami, siadał na ławie w izbie, i siedział tak przez całe godziny nie ruszając się z miejsca, choćby go kto dziesięć razy wołał po imieniu. Na domiar złego musiał stanąć jako poborowy do służby w wojsku. Nie mówił o tem nic Antce, myśląc, że gdyby się trapiła dłużej, to jemu ciężej byłoby na sercu. Milczał więc ale gryzł się i truł nocami, gdy matka usnęła i otoczyła go cisza i ciemność. Ale pewnego wieczoru powiedział Antce wszystko.

Antka przyjęła tę wiadomość niby obojętnie ale wróciwszy do chałupy płakała noc całą, kaszląc przytem tak głośno, że aż ojciec, choć stary znękany, pytał się jej ciągle, czy jej nie lepiej. Mimo to, wstawszy czuła się zdrowszą i oświadczyła ojcu, że pójdzie znów do roboty. W istocie najęła się do jakichś zwózek wiosennych i pracowała dni kilka z rzędu. Wieczorem dopiero, gdy przyszła znużona i bez tchu prawie padła jak kłoda na ławę i leżała tak długo, nie wiedząc nawet, co się koło niej dzieje. Gdy wstała, musiała się chwytać za ściany, by nie upaść na ziemię. Nie płakała teraz już nawet, tymczasem dzień odejścia Stacha zbliżał się.

Ona czekała go z strachem. Zdawało się jej, że póki Stach będzie gdzieś blisko niej, nie spotka jej nic złego. W biedzie, czy w chorobie, nie da jej zginąć z ojcem pewnie. Ale gdy jego nie stanie, nie będzie wiedziała, co począć. Przyszłość wydawała się jej jakąś straszną i bolesną. Matka Stacha była jej niechętną. Od takiej kobiety nie mogła spodziewać się pomocy w nieszczęściu. A zresztą do Stacha przyzwyczaiła się tak, że nawet w szczęściu ciężko by jej było wyżyć bez niego. Myśl o jego odejściu prześladowała ją ciągle jak zła mucha, szła za nią jak cień, gnębiła ją jak gorączka, szarpała jak konwulsje. Myśląc o Stachu doznawała nadto jakiegoś zawrotu głowy. Nie widziała wtedy przed sobą nic prawie. W oczach jej wszystkie grzedmioty przesłaniały się jakąś mgłą nieprzeniknioną, gęstą. Zataczała się wtedy jak pijana.

Pewnego wieczoru wróciła z pola wcześniej niż zwykle. Deszcz lunął z chmur i roboty przerwano. Od dni kilku niebo zaciągnęło się szarymi płachtami chmur i smutno było na świecie. Chłodny wiatr płynął polami, a pewnego południa śnieg biały ubielił nawet strzechy, drzewa i ziemię. Wiosna uciekła gdzieś za lasy i ludzie posmutnieli bardzo. Antka jednak czuła się teraz daleko zdrowszą, niż w zimie. Kaszlała jak zwyczajnie mocno, ale gorączka ustała od pewnego czasu i siły zdawały się pewracać. W oczah jej mieniło się czasem, ale to trwało krótko. Nabierała wtedy ochoty do pracy i patrzała mniej czarno w przyszłość.

Tego wieczoru wróciła do chałupy i położywszy się na ławie pod oknem, leżała nieruchomo. Ojciec spał już ciężkim snem. Na dworze mrok padał gęsty. Deszcz gęsty siekał małe szybki a pod okapem komina jęczał przykro wicher. Antka leżała na ławie, mając oczy utkwione w pułap, gdzie wisiał obraz jej patronki w złoconych ramach i paliła się lampka oblewająca różowem światłem całą izbę. Nagle usłyszała ciche pukanie w szybkę. Ledwie zdołała powstać, a już Stach stał na progu izby. Przestąpił próg i spojrzał na Antkę. Ona stała na środku izby wesoła i uśmiechnięta prawie. Wnet jednak spostrzegła, że Stach ma twarz nader smutną i skrzywioną. W jej głowie myśl jakaś zaświtała... Ona myślała, że to jeszcze kilka dni będzie z nim razem. Dnie się jej całkiem splątały i zapomniała... Uczuła, że w nogach słabnie bardzo i usiadła na ławie. Stach usiadł też chmurny, jak noc dżdżyta. Nie widział nawet jej płonących jak ogień policzków i drżących jak w febrze. Byłby inaczej starał się ją pocieszać. Tego wieczoru nie mówili prawie nic z sobą.

Po odejściu Stacha Antka, czując się słabszą, rzuciła się zaraz na posłanie. W uszach jej szumiało jak woda na młynie. Stach powiedział jej, że za kilka tygodni przyjdzie na dzień do wsi, by odwiedzić ją i matkę. Mimo to oarniała ją jakaś bojaźń, wiecząca jej niby ostrem narzędziem w zbolałych piersiach, przesłaniająca jej wzrk niby szarą siatką, dławiącą niekiedy oddech w gardle. Był to smutek wielki i potężny. Zdawało się jej, że teraz właśnie spotka ją coś strasznego. O siebie i swą chorobę dbała mało. Czy to mało choruje ludzi i przychodzi do zdrowia?

L. T Grabowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).